

JANET SKESLIEN
CHARLES
BIBLIOTEKARKA
NA FRONCIE

Przełożyła
Agnieszka Szmatoła

SPIS TREŚCI

Prolog	9
1. Jessie Carson	11
2. Jessie Carson	26
3. Wendy Peterson	40
4. Jessie „Kit” Carson	52
5. Jessie „Kit” Carson	71
6. Jessie „Kit” Carson	87
7. Jessie „Kit” Carson	95
8. Wendy Peterson	112
9. Jessie „Kit” Carson	121
10. Jessie „Kit” Carson	143
11. Wendy Peterson	157
12. Jessie „Kit” Carson	166
13. Wendy Peterson	177
14. Jessie „Kit” Carson	184
15. Wendy Peterson	194
16. Jessie „Kit” Carson	204
17. Jessie „Kit” Carson	213
18. Wendy Peterson	223
19. Jessie „Kit” Carson	231
20. Wendy Peterson	247
21. Jessie „Kit” Carson	253
22. Wendy Peterson	270
23. Jessie „Kit” Carson	277
24. Jessie „Kit” Carson	286
25. Jessie „Kit” Carson	295
26. Wendy Peterson	306
27. Jessie „Kit” Carson	318
28. Wendy Peterson	325
29. Wendy Peterson	330
30. Jessie „Kit” Carson	336
31. Jessie „Kit” Carson	343
Epilog. Wendy Peterson	354
Notka odautorska	357
Podziękowania	371
Spis ilustracji	373
O autorce	374

Originally published under the title *Miss Morgan's Book Brigade*

Copyright © 2024 by Janet Skeslien Charles

First published by Affirm Press

This edition arranged with Kaplan/DeFiore Rights through Graal Literary Agency

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2025

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Sylwia Kajdana

Korekta: Anna Śledzikowska, Lidia Kozłowska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-4377-0

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAŁ • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Creamy 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

*Mojemu mężowi
Eddiemu Charlesowi*

Nigdy nie zapomnę tych wiosek.

Męstwa ludzi i odwagi, z jaką wracają, by żyć pośród ruin...

Czy wiesz, że hrabina d'Evry mieszka w wozie na dziedzińcu
stajni i pomaga żołnierzom oczyścić ogrody swoich poddanych,
by mieli do czego wracać?

A na wzgórzu jej zamek leży w gruzach.

Teraz trzeba działać.

List Anne Morgan do matki



znaczek, portret Anne Morgan

PROLOG

Zawartość szafy może nam wiele o kimś powiedzieć. Stoję dziś przed swoją i zastanawiam się, co by tu włożyć, przeciągam dłonią po kardiganach i dopasowanych spodniach, po tych pamiątkach mojej kariery. Z boku tłoczą się relikty przeszłości: kapelusz czarownicy i kitel, o którego włożenie w każde Halloween błagali mnie uczniowie, suknia ślubna, która nigdy nie ujrzała ołtarza, mundur Amerykańskiej Komisji ds. Zniszczonej Francji* – szarobłękitny niczym niebo na horyzoncie, kolor bleu horizon, ten sam, jaki nosiło francuskie wojsko. Nie mogę się powstrzymać przed dotknięciem rąbka spódnicy. Ma siedemdziesiąt lat, a wełna, ciepła i lekka, wciąż uosabia jakość, z której słynie Paryż. Historie, które skrywa ten mundur... splót osnowy i wątku życia podczas wielkiej wojny. Widział miłość i nienawiść, poświęcenie i wyrachowanie, tęsknotę i nadzieję, rozpacz i odwagę. Tak wiele odwagi.

* American Committee for Devastated France – organizacja znana też jako CARD (Le Comité américain pour les régions dévastées de France), działała w latach 1919–1924. Założona przez Anne Morgan grupa ochotniczek aktywnych po pierwszej wojnie światowej we Francji, przekształcona później w AHSA (Association d'Hygiène Sociale de l'Aisne), po śmierci Anne Morgan w 1953 r. stała się AMSAM (Association Médico-Sociale Anne Morgan) i pod tą nazwą działa do dziś, choć główne cele komisji uległy zmianie już w 1924 r. (przyp. tłum.).

Przesuwam palce wzdłuż rękawa, ku rdzawej plamie na mankiecie. Nieważne, czym bym ją czyściła – przecierałam wodą gazowaną, namaczałam w jodynie, szorowałam szarym mydłem – krew nie schodziła. Nieważne. Tkanina jest wystarczająco ciemna, by plama nie rzucała się w oczy, a za odbarwienie można winić ratatouille.

Żeby wyciągnąć mundur z szafy, zsuwam najpierw z wieszaka ramiona żakietu i ciągnę go, obejmując niczym żywą osobę. Coś mnie kłuje w pierś. To medal w klapie, przypięty na pasiastej, biało-niebieskiej wstążce. Srebro pociemniało, ale wciąż mogę dojrzeć gryfa, godło CARD. Rewers zaś głosi: „Czyń, co należy, i nie lękaj się”.

Czy mundur będzie na mnie pasował, gdy go włożę? Jest tylko jeden sposób, by się przekonać. Tak, żakiet na mojej bluzce wygląda elegancko. Zachęcona tym zsuwam spodnie i czuję, że spódnica uciska mnie w talii. Mimo to mam wrażenie, że to dobrze, jakby mundur chciał być noszony. Jeszcze chusteczka, znoszona, dotknięta zębem czasu. Wsuwam ją do kieszeni.

Spoglądam na zegarek. Niemal siódma. Nie wiedziałam, co włożyć, ale decyzja podjęła się sama – jeśli zaraz nie wyjdę, spóźnię się.

Opuszczam mieszkanie i Piątą Aleją spieszę do Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Wyprostowana pokonuję schody, jak robiłam to setki razy wcześniej. Od kiedy przybyłam na Manhattan, to miejsce było moją szkołą, towarzystwem, domem.

W holu przeciągam palcami po śladach na ścianach. Niektórzy widzą w nich tylko niedoskonałości, ale ja pamiętam dostarczane tymi korytarzami skrzynie, staczający się ze schodów wózki z książkami, stażystki, jak ja, niechcący rozmazujące na białym papierze czarny atrament, który tulił się do skóry niczym perfumy.

Przeszłość tłoczy się wokół mnie, wspomnienia wirują w powietrzu. Ściskam chusteczkę i wiem, że wreszcie nadszedł czas.

I

JESSIE CARSON

Północna Francja, styczeń 1918
Sześćdziesiąt kilometrów od linii frontu

Wąską polną drogę szpeciły ślady po ostrzale. Kierowczyni Lewis manewrowała pomiędzy szrapnelami i lejami po pociskach. Ja na miejscu pasażera kurczowo trzymałam się drzwi. Gdy samochód pokonywał koleinę, moja głowa podskoczyła boleśnie wraz z nim. Skrzywiłam się, nie tylko z powodu kłującego bólu, ale i na widok pól połatanych drutem kolczastym.

Zniszczenia ciągnęły się po horyzont. Wokół żywej duszy, nawet zdźbła trawy, a okolica zlewała się z szarymi chmurami w pozbawiony barw, ponury krajobraz. Ci, którzy niegdyś tu mieszkali, uciekli lub trafili do niewoli. Niemcy zrównali z ziemią domy i szkoły, kościoły i szpitale oraz biblioteki, zdusili wszelkie oznaki życia. Na polach zbombardowali sprzeciwiające się im łany pszenicy. W sadach ruszyli z toporami na niewinne jabłonie. Ziemię zasłały konary, a wędnące liście szeptały na wietrze.

W punkcie kontrolnym przed wkroczeniem w strefę wojny zwolniłyśmy i zatrzymałyśmy się za pięcioma wojskowymi ciężarówkami. Lewis zgasila silnik i zapaliła papierosa, co oznaczało, że spędzimy tu chwilę. Uniosłam kołnierz wełnianego płaszcza, chroniąc się przed zimną wilgocią. Lewis przerzucała papiery:

paszporty, zezwolenia i zgody ostemplowane błękitnym tuszem, a ja spod przymkniętych powiek przyglądałam się ukrytym w kąciку przedniej szyby resztkom mrozu i odkrywałam kalejdoskopy wzorów. Srebrzyste motyle skrzydła. Dziecięce rękawiczki. Ojciec miał rację: nawet w najmroczniejszym miejscu trwa piękno, jeśli wiesz, gdzie go szukać.

– Kij ma w dupie! – Lewis wskazała francuskiego żandarma, który, jak się zdawało, analizował dokumenty kierowcy literka po literce. – W tym tempie nigdy stąd nie wyjedziemy.

Czekałyśmy, a głowę miałam pełną obrazów z mojej podróży, przemykających niczym karty książki przewracane przez wiatr. Podróż przez ocean i moja współpodróżniczka, wolontariuszka Czerwonego Krzyża, która przez całe trzy tygodnie nie zdejmowała kapoka. I choć się bała, że nasz okręt zostanie storpedowany niczym „Lusitania”, nie zrezygnowała z podróży. Cóż za odwaga! Gdy przybyłyśmy do Bordeaux, spróbowałyśmy prawdziwego francuskiego wina, a ja rzuciłam okiem na kamienne cherubiny i gargulce. Drogę do Paryża naszemu fordowi ocieniały szpalery topoli. W stolicy Lewis pomogła mi zdobyć zezwolenie na wkroczenie w strefę działań wojennych. Wystawaliśmy w komisariatach godzinami, żeby wbito nam błękitny stempelek, i ruszałyśmy kocimi łbami do Ministerstwa Wojny, by tam utknąć w następnej kolejce. Trzy irytujące, pełne utrudnień dla obcokrajowców dni. Byłam we Francji dziesięć dni, wystarczająco długo, by zrobiły na mnie wrażenie dwie rzeczy: olśniewająca architektura i ogłupiająca biurokracja.

W końcu ciężarówka przed nami, ta wypełniona skrzyniami z kapustą i beczkami prochu, ruszyła. Przyszła nasza kolej. Na widok papierów żandarm ściągnął brwi.

– Nie denerwuj się – powiedziała do mnie Lewis, widząc, jak nerwowo szarpie chusteczkę.

Żandarm wskazał wers na dole dokumentu. Lewis przewróciła stronę i stuknęła palcem w idealne pismo.

– Zrobiliśmy, co do nas należało. Teraz ty zrób swoje i nas przepuść.

Żandarm spojrzał na mnie.

– Ale tu jest napisane, że ona jest bi...

– Należymy do Brygady Morgan – poinformowała go Lewis suchym, cierpliwość-mi-się-kończy tonem.

Żandarmowi opadła szczeka.

– *Merci*. – Gestem nakazał nam jechać.

Spytałam, czemu nam podziękował. Lewis wyjaśniła, że praca Anne Morgan jest w tych okolicach dobrze znana. Nie tylko tu zresztą. To panna Morgan była powodem, dla którego tu przybyłam. Zażyczyła sobie fotografa i filmowca do uwiecznienia skutków wojny. W rodzinnym mieście w kinie, tuż za rogiem Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, widzowie wpatrywali się w zdjęcia wątłej pary siwowłosych rolników od stóp do głów odzianych w czerń. Ich pociągłe twarze opowiadały o życiu spędzonym w polu, pod bezlitosnym słońcem. Niemcy zarżnęli im kożę i wałacha, spalili ich zboże, dom zmienili w kupę gruzu. Z rękami bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała para stała przed zbombardowaną stodołą niczym duchy, które nie mają czego nawiedzać. Po seansie nie mogłam beczynnie siedzieć w domu i tylko się modlić.

Z Paryża pojechaliśmy z Lewis prosto do kwatery głównej CARD w Blérancourt, gdzie stawiałam się na służbę jako najnowszy nabytek Le Comité américain pour les régions dévastées de France, Amerykańskiej Komisji ds. Zniszczonej Francji. Przejeżdżaliśmy przez to, co niegdyś było miasteczkiem, witane przez otwarte wybuchami domy i ich poczerniałe okiennice. Tuż za budynkami minęliśmy przydrożny grób: hełm na krzyżu i tuż

obok zardzewiały bagniet wbity pionowo w ziemię. Zbliżaliśmy się tak powoli, że zdołałam odczytać napis na tabliczce: „Nieznany żołnierz, sierpień 1914”.

Przemówił do mnie ten obraz, to osamotnienie.

– Lewis – poprosiłam – zatrzymaj się.

W CARD używałyśmy nazwisk. Kiedy usłyszałam, że moim kierowcą ma być ktoś o nazwisku Lewis, wyobraziłam sobie łysego mężczyznę z monoklem, nie spodziewałam się radosnej brunetki rodem z Vassar. Obie nosiłyśmy mundur, szaroniebieskie żakiet i spódnicę.

Lewis zakręciła wielką kierownicą i przez gruzowisko dotarła do oczyszczonego kawałka drogi. Pochyliłyśmy głowy nad grobem. W Nowym Jorku uliczni sprzedawcy krzyczeli do utraty tchu, konie rżały, przemierzając Piątą Aleję, wozy mleczarzy jękliwie ugiwały się pod ciężarem butelek ze śmietaną, tłuste gołębie gruchały miłośnię, z rzadka odpowiadało im samotne krakanie wrony. Tu była tylko cisza.

Zmęczone godzinami spędzonymi w fordzie, skierowałyśmy się z Lewis w stronę domów, teraz będących kupami gruzu, które sięgały mi zaledwie do pasa. W ogrodzie zastałyśmy resztki królikarni, powyginane, poszarpane drewno. Na ziemi granaty ręczne i niewybuchy. W środku, tam gdzie niegdyś musiała być jadalnia, teraz widziałyśmy tylko roztrzaskany stół i resztki krzeseł, dziecięce łóżeczko, podartą i brudną koronkę.

Nie mogłam uwierzyć, że w końcu dotarłam, że jestem tu, pośrodku tego niemego, opustoszałego oblędu. Pamiętam, co powiedziała mi szefowa, gdy się dowiedziała, że się zaciągnęłam:

– A co, u licha, ma do roboty bibliotekarka w strefie działań wojennych?

– Wszystko, co jakoś pomoże.

– A niby jak się dostaniesz do Europy? – spytała z kpiącym uśmieszkiem.

Obie wiedziałyśmy, że podróż przez ocean kosztuje więcej, niż wynosiły moje całoroczne zarobki.

Pamiętam, z jaką satysfakcją ją poinformowałam, że podróż sponсорuje mi panna Morgan. A właściwie brygada panny Morgan. I choć raz moja szefowa Winnifred Smythe, najjaśniejsza, najstarsza gwiazda w konstelacji działu dziecięcego Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, zaniemówiła.

Nigdy dotąd cisza nie cieszyła mnie tak bardzo.

– Skąd niby cię zna? – spytała w końcu. – Jesteś nikim.

Nie było wielu możliwości na to, by drogi bibliotekarki i dziewcziczki największego amerykańskiego imperium bankowego się skrzyżowały. Odpowiedziałam, że panna Morgan mogła usłyszeć o moim zaangażowaniu w działania Narodowej Ligi Służby Kobiecej*, założonej, byśmy mogły wspomóc żołnierzy. Panna Morgan, rzecz jasna, była skarbniczką. Ja, jedna z dwustu pięćdziesięciu tysięcy ochotniczek, kierowałam działem biznesowym. Zgodnie z tym, co przekazała sekretarka dyrektorki biblioteki, panna Morgan poprosiła o mnie osobiście.

– A czegoż miałyby chcieć od ciebie? – mamrotała pod nosem moja szefowa. – Dłaczego ty, a nie ja?

Moja matka utrzymywała, że fragment „szukajcie, a znajdziecie” (Mt 7, 7) oznaczał, że większość odpowiedzi znajduje się w książkach. Przypomniałam sobie manifest Ligi z 1917 roku: „Uchwalono, iż Narodowa Liga Służby Kobiecej będzie uświęceniem kobiecej mocy; będzie wolna od egoizmu i polityki”...

* National League for Women's Service – utworzona w 1917 r. amerykańska cywilna organizacja ochotnicza, której zadaniem było zapewnienie takich usług, jak: wyżywienie, opieka i transport żołnierzy, weteranów i pracowników wojennych (przyp. tłum.).

Wolna od egoizmu i polityki. Dlatego.

Szłyśmy z Lewis brukowaną ulicą. Obok studni się schyliła, by podnieść okopconą szmacianą lalkę.

– To moja dziesiąta podróż w te rejony. – Otarła twarz. – Ale nigdy się nie przyzwyczaję do tych śladów pozostawionych przez rodziny, które zmuszono do opuszczenia domów.

Mijałyśmy wspomnienia przeszłości. Tam gdzie niegdyś było podwórko z chatką, minęłyśmy strzaskaną witrynkę i przemoczoną otomanę. Na krześle z odrąbanymi nogami Lewis posadziła lalkę. Tuż za miasteczkiem grzęzłam w miękkiej ziemi pól. Żaden buntowniczy kwiatek nie odważył się zapuścić tu korzeni. Nie przemknęła mi pod nogami nawet jedna polna mysz. Nie powitało nas ćwierkanie wróbla. Czy ptaki kiedyś tu powrócą?

Krajobraz przywiódł mi na myśl opisywane przez Willę Cather Wielkie Równiny. Nagle opuściłam to miejsce i znalazłam się w bibliotece mojego umysłu. Jedno piętro. Ruchoma drabinka, dzięki której mogłam sięgnąć do tomów na najwyższych półkach. Wzywała mnie wnęka okienna i jej puszyste poduchy oraz puchowa kołdra, zwiјаłam się tam z książką i patrzyłam na mój tajemniczy ogród rozrastający się różami i lawendą. I teraz szybko przecięłam skrzypiący pod stopami parkiet, by sięgnąć po *Moją Antonię*. „Pragnąłem iść pośród traw, przekroczyć nieodległą przecież krawędź świata”.

– Carson! – Usłyszałam krzyk Lewis.

Wróciłam z mojej przytulnej biblioteki do rzeczywistości, udało mi się od niej oderwać w samym środku błotnistego pola.

– Pole jest zaminowane – powiedziała Lewis. – Wróć do mnie po swoich śladach. Powoli.

Odwrociłam głowę. Szarobrazowa ścieżka za mną prowadziła do oddalonej ode mnie o nieskończoność Lewis. Spojrzałam na

swoje ślady... Czy to bruzda? Gdzie jest ślad mojego obcasa? Zadrżałam, trochę z zimna, choć głównie ze strachu, jakiego nigdy dotąd nie czułam. Już pierwszego dnia w strefie działań wojennych udało mi się, jak przewidziała to moja szefowa, wpaść w tarapaty. Właściwie to przewidziała, że dam się zabić. Biadoliła, że bujam w obłokach, że nie stąпам twardo po ziemi. Sprzeciwiała się mojemu przyjazdowi tutaj. W ogóle była przeciwko mnie. Udowodnię jej, że się myliła.

Zerknęłam na bryłki błota – ta kałuża była tu wcześniej czy skrywa odcisk mojego buta? Serce biło mi głośno i mocno. Marzłam, ale pot rosił mi czoło. Otarłam brew chusteczką ojca i zrobiłam pierwszy krok. Nie chciałam umierać. Nie chciałam, żeby szefowa miała rację. Prawa, lewa. Prawa, lewa.

Przy samochodzie całe moje ciało pulsowało paniką i z trudem oddychałam. Spodziewałam się, że Lewis powie mi coś do słuchu, ale ona tylko westchnęła:

– Co za *curfuggle*!

Słowo to oznaczało „bajzel”, ale nie miałam pojęcia, czy ma na myśli mnie czy sytuację.

Opadłam na siedzenie obok kierowcy. Lewis nie trzasnęła drzwiami, jak na to zasługiwałam, ale delikatnie je zamknęła.

– Biedactwo, bładaś jak śmierć na chorągwi – powiedziała. Jej troska ogrzała mnie, otuliła niczym koc i lęk w końcu zniknął.

Wyjeżdżając na drogę, Lewis wyjaśniła, że jesteśmy w czerwonej strefie, że Niemcy zostawili tu materiały wybuchowe, jakby sadzili ziemniaki. Przypomniłam sobie, co wyczytałam w raporcie CARD: „Zdewastowane kompletnie. Szkody mienia: 100%. Szkody w rolnictwie: 100%. Oczyszczenie niemożliwe. Zasiedlenie niemożliwe”.

Jak dotąd szczebiotała nieustannie, patrząc to na mnie, to na drogę. W czwartek skończyła dwadzieścia pięć lat, była więc

o piętnaście lat młodsza ode mnie. Pamiętałam, jak to było w tym wieku, te wszystkie pytania, które się z nim wiązały. *Spotykasz się z kimś? Co robi? Oświadczył się już? Ile dzieci zamierza mieć?* Odetchnęłam z ulgą, gdy się skończyły, choć matka co jakiś czas szeptała z nadzieją *Jeszcze masz czas*.

– Dziewczynom udało się zdobyć szampana – wspominała Lewis. – Wspaniałe miałam urodziny! W CARD pracujemy z całych sił, ale jak już się bawimy, to na całego. Sama zobaczysz.

Lewis była tu już od pół roku i zajmowała się konserwacją pojazdów. W domu miała własny samochód i kierowcę, tutaj wymieniała przebite opony, naprawiała silniki i zeskrobywała błoto z podwozi.

– W branży motoryzacyjnej – mówiła – nazywamy się *les chauffeurs*.

Lewis lubiła obserwować Francuzów, którzy mijali forda.

– Nigdy nie widzieli kobiety prowadzącej samochód i uważają, że to nienaturalne. Oczy im wychodzą na wierzch! Szczęki opadają! Dobijające! – powiedziała i się zaśmiałyśmy. – Nie ma wystarczająco dużo gorącej wody i paznokcie mam poczerniałe od smaru. Biedna mama, pierwsza dama Filadelfii, byłaby zbulwersowana!

Unosi dłonie otulone drogą jagnięcą skórką. Odruchowo zasłaniam wytarte miejsce w moich wełnianych rękawiczkach. Większość Cardek była jak Lewis – bogate wolontariuszki, które płaciły za siebie, podczas gdy ja pobierałam pensję, a wydatki, takie jak lekcje odświeżające mój francuski przed wyjazdem, pokrywała panna Morgan. Mundurek nie wystarczał, żeby zatuszować dzielącą nas przepaść.

Powiedziałam jej, że byłam bibliotekarką dziecięcą i moje dłonie cierpiały jedynie od zacięć papierem, czasem barwiły się na niebiesko od tuszu, którym stemplowałyśmy książki.

– To musiało być niesamowite, tak dzielić się wiedzą z maluszkami – odpowiedziała. Obawiałam się kpin, ale dodała: – Miałam korepetytorów z francuskiego i łaciny. A kiedy skończyłam college, ojciec zabronił mi szukać pracy.

I nagle poczułam, że jest mi jej, dziedziczki, żal.

– A tłumaczenia? – spytałam. To mogła robić w domu.

– Ojciec twierdził, że moja wiedza należy do mojego przyszłego męża. Oczekiwał, że na męża wybiorę któregoś z jego pracowników, młodych, prężnych brokerów.

– Moja matka robiła to samo. W kościele przed naszą ławką nieustannie paradowali zalotnicy.

– Wystarczy, żeby z dziewczyny zrobić ateistkę!

Zachichotałam.

– Nigdy nie winiłam za to Boga. I nigdy się nie dowiedziałam, skąd matka wystraszyła tylu kawalerów.

Prawdę mówiąc, chciałam być samodzielna i byłam zadowolona ze swojego życia zawodowego. Ale też dojrzałam do zmiany i pragnęłam poznawać nowych ludzi. Było też trochę spraw, o których wolałabym zapomnieć. Lewis i ja mogłyśmy mieć różne korzenie, ale tę okaleczoną drogę przemierzałyśmy wspólnie, dwie Cardki, których celem była pomoc mieszkańcom Francji.

Smutek francuskiej ziemi udzielił się i nam. Dokończyłyśmy podróż, jakby jadąc w kondukcje pogrzebowym; milcząc, oddawałyśmy cześć zmarłym. Lewis nie spuszczała wzroku z drogi, podczas godziny jazdy przez puste okolice wciąż wypatrywała dziur i kolein.

– Mam nadzieję, że zabrałaś kalosze – powiedziała, gdy zaczęło padać. – Mżawka praktycznie nie ustaje, błoto zaczyna nas pokonywać.

Gdy nacisnęła sprzęgło, by zmienić bieg, zapatrzyłam się na jej zamszowe botki z guzikami, buty, które przylegały do jej nóg

niczym druga skóra, a skrojone były specjalnie dla niej. Ja nosiłam zwykłe buty robocze, jedyne, na jakie było mnie stać. Czy wymieniałam trudną szefową na rozpuszczoną bywalczynię salonów?

– Jak inne Cardki, dobrze się z nimi pracuje? – spytałam.

– Dziewczyny są miłe i ciężko harują. Panna Morgan i medyczka M.D., tak nazywamy przewodniczącą CARD, doktorkę Anne Murray Dike, rządzą żelazną ręką. Kiedy jedna z nowych wylegiwała się w łóżku do dziesiątej, M.D. odesłała ją do Bostonu.

Na myśl o tym, że mogę zostać odesłana jak wadliwy towar, zdjęła mnie groza. Moja szefowa skomentowałaby to ze śmiechem: *A nie mówiłam?*

– Jedna z dziewczyn niezbyt sobie radziła – mówiła Lewis. – Po dwóch tygodniach uciekła do Ritza.

Zastanawiałam się, dlaczego się poddała. Nie mówiła wystarczająco dobrze po francusku? Przytłoczyła ją tęsknota za domem? Ja podpisałam umowę – przez dwa lata nie zobaczę siostry ani matki. Co ja sobie wyobrażałam? Tak bardzo chciałam już być we Francji, że nie przejęłam się zbyt tym, że zostawiam rodzinę.

– I jesteśmy – ogłosiła Lewis.

Do zniszczonego wojną Blérancourt wjechaliśmy o zmierzchu. Gasnące światło nie zdołało ukryć ruin miasteczka. Pod szczątkami dachu, na stosie gruzu przycupnęła nastolatka, której płaski nos przywodził na myśl mopsa. Pochylona była nad książką. Tak wciągnęła ją czytana historia, że nawet nie zauważyła snopów światła rzucanych przez nasz samochód.

– To Marcelle Moreau – przedstawiła ją Lewis. – A to był kiedyś jej dom. Tyle z niego zostało i teraz mieszkają w kopalni. Jej ojciec zginął na polu bitwy. Jej matka jest praczką i szwaczką, a Marcelle opiekuje się trzema nadzwyczaj żywymi braćmi. Pani Moreau nie daje jej chwili wytchnienia.

– Książki mogą być takimi chwilami. – Pomaganie dzieciom takim jak ona było powodem, dla którego tu przybyłam. Musiałam pokonać moje lęki mówiące mi, że jestem niepotrzebna. – Przedstawisz nas?

– Mogę spróbować. – Zwolniła. – Zwykle ucieka.

Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam *Anię z Zielonego Wzgórza*, którą próbowałam czytać po francusku. Ania „zapamiętała na zawsze owo jasnosrebrne, pełne spokoju piękno i pachnącą ciszę owego wieczoru. Była to ostatnia noc przed ciężkim smutkiem, jaki dotknął młodą dziewczynę. Ale są pewne dotknięcia losu, które na zawsze kładą smutny cień na życie”*. Miałam wrażenie, że ta dziewczyna by ją zrozumiała. Wystawiłam książkę przez okno, oferując ją niczym marchewkę Czarnej Piękności. Zgarnęła ją błyskawicznie.

– Chciałabyś może jakieś inne? – spytałam po francusku.

– Ma zabroniła mi rozmawiać z diabolicami!

Diablesses. Zdusiłam śmiech. Pochlebiało mi to, nikt dotąd nie posądzał mnie o wywieranie złego wpływu.

– Kocham czytać. Jak ty. Jestem nową bibliotekarką.

Przechyliła głowę na bok.

– Kłamiesz! Wszyscy wiedzą, że w bibliotekach pracują tylko mężczyźni.

– Świat się zmienia – odpowiedziałam.

– Nie tu. – Marcelle zmierzyła Lewis wzrokiem. – Ma mówi, że tylko zdziry palą papierosy albo ścinają włosy.

– A mężczyznom wolno palić i odwiedzać balwierzy? – spytałam.

* Lucy Maud Montgomery, *Ania z Zielonego Wzgórza*, tłum. Rozalia Bernsteinowa.

Marcelle przygryzała koniuszek jednego z kucyków, gdy zastanawiała się nad moimi słowami.

– Przemyśl te podwójne standardy – dodałam.

– I znajdź mnie, gdy do ciebie dotrze, jakie to niesprawiedliwe – powiedziała Lewis. – Nauczę cię „chauffowania”.

Książki i prowadzenie samochodu? Któż by się oparł takiej kuszącej propozycji? Marcelle podeszła bliżej.

– Wysłałam cię, żebyś napełniła wiadra! – Usłyszałyśmy kobiecy głos. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś paniom nie przeszkadzała?

Oczy dziewczyny się zaokrągliły, po czym uciekła.

– Nie powinnyśmy za nią pójść? – spytałam Lewis.

– Nic nie poradzisz. Nawet ja się boję mamy Marcelle.

Ford toczył się po kocich łbach, a Lewis wskazała mi ratusz, a potem jednopiętrowy budynek, który gościł miejską bibliotekę. Jakimś cudem przetrwały wszystkie cztery ściany. Odruchowo pogłaskałam aktówkę, w której miałam plany biblioteki dziecięcej. Nie mogłam się doczekać, kiedy uda mi się je przedstawić pannie Morgan. Ojciec zaszczepił we mnie przekonanie, że pierwsze wrażenie nigdy nie znika. Musiałam udowodnić Morgan, że się nie myliła, gdy mnie zatrudniała.

Przed nami pojawiła się nasza siedziba główna, zniszczony zamek. Tylko część nadawała się do użytku. Wzywało mnie ciepłe, złote światło płynące z okien na parterze. Przekroczyłyśmy most nad suchą fosą, minęłyśmy kilka cherlawych świerków. Nigdy dotąd widok drzew nie sprawił mi takiej radości. Jak pisała Willa Cather: „Drzewa były w tym kraju taką rzadkością i toczyły tak ciężki bój o przetrwanie, że martwiliśmy się o nie i odwiedzaliśmy je, jak odwiedzalibyśmy ludzi”. Pod łukiem wielkiej bramy z piaskowca wjechałyśmy do niewielkiej osady drewnianych baraków z metalowymi dachami. Lewis pokazała mi garaż,

sklepik, w którym mieszkańcy miasteczka mogli kupować rzeczy w niższych cenach, i izbę chorych. Sześć baraków służyło jako miejsca do spania, siódmy, zwany klubem, był świetlicą, w której spotykano się podczas posiłków. Zaparkowałyśmy przed ocaloną częścią zamku. W świetle księżycy piaskowiec *château* przypominał satynową suknię ślubną, ruiny rozciągały się za jego smukłą sylwetką niczym koronkowy tren.

Kiedy wysiadłyśmy z samochodu, powitał nas niewielki terier.

– Hej, maluchu! – powiedziałam do kręcącego się pod nogami psa.

Lewis wyjaśniła mi, że podczas bombardowań zwierzęta i ich właściciele stracili kontakt i teraz zwierzęta włóczyły się samotnie w poszukiwaniu jedzenia i czułości.

– Wszystkie tu mamy psy i wszystkie mamy pchły – dodała radośnie.

Głaskałyśmy psa, gdy Lewis zeszytniała nagle jak stojący na baczność żołnierz w oczekiwaniu na krótkie „spocznij”.

– To dwie Anny – szepnęła.

W imponujących dębowych drzwiach ukazały się dwie kobiety i w jednej z nich, dzięki fotografiom prasowym, rozpoznałam Anne Morgan. Mając w pamięci jej majątek, można było się spodziewać, że będzie częstym gościem stron poświęconych socjocie – że będziemy czytać, gdzie udała się na zimowy wypoczynek i który z książąt poprosił o jej rękę. A jednak pojawiała się na pierwszych stronach gazet, które opisywały jej działania mające na celu poprawę warunków życia kobiet pracujących – walkę o lepsze płace, o zwiększenie bezpieczeństwa w fabrykach, o płatne urlopy. Razem z przyjaciółkami z wyższych sfer pikietowała na ulicach Manhattanu u boku zubożałych szwaczek i krawcowych, wiedząc, że tam, gdzie pojawiają się bogacze, podąża prasa.

Teraz jednak artykuły wspominały głównie o pracy, jaką wykonywała we Francji. Gdy w 1914 roku wybuchła wojna, Anne Morgan oddała willę w Wersalu powracającym do zdrowia żołnierzom. Do 1916 roku zdołała objąć rolę skarbniczki amerykańskiego funduszu na rzecz rannych Francuzów. W 1917 roku wraz z dziewięcioma innymi kobietami uzyskała zgodę generała Pétaina na zajęcie Blérancourt i pomoc cywilom.

Dziś siwiejące włosy panny Morgan wymknęły się spod przekrzywionego kapelusza CARD. Miała na sobie wykrochmaloną białą koszulę, czarny krawat i mundurek. W jej oczach płonęła inteligencja, lekko uniesiona broda wyglądała, jakby panna Morgan była przygotowana do bitwy. U jej boku stała doktorka Anne Murray Dike.

Jeśli wierzyć Lewis, to ta Szkotka również była niepowstrzymana. Studiowała w Kanadzie medycynę, a potem wyszła za bostońskiego profesora. Rozstali się później, a za rozwód winiono czasem pannę Morgan. Anny były nierozłączne.

Panna Morgan była krępa, medyczka M.D. wysoka i smukła. Jej owalną twarz okalały fale blond włosów. Patrzyła na mnie z zadumą.

– Witaj, Carson. – Głos panny Morgan był głęboki, autorytatywny. – Pracowałyśmy, nie spuszczać oczu z okna. Chciałyśmy być pierwsze, które cię powitają. Jak podróż?

Zerknęłam na Lewis pewna, że nie omieszka wspomnieć o tym, jak bezmyślnie weszłam na pole.

– Spokojna – odpowiedziała lekko.

– Jak się trzymasz? – zwróciła się do mnie panna Morgan. – Pamiętam, jak pierwszy raz jechałyśmy pośród ruin. Coś w człowieku pęka.

Powinnam coś powiedzieć. *Podróż złamała mi serce? Miło panią wreszcie spotkać? Chciałabym pani przedstawić moje plany?* Niezdolna

do podjęcia decyzji dopuściłam do niezręcznej ciszy, którą zauważyłam dopiero, kiedy panna Morgan zaproponowała drinka.

Nie byłam pewna, czy to zaproszenie, czy uprzejmość i odwróciłam się do Lewis, która z uśmiechem ogłosiła:

– Tak! Napijmy się!

Terier i ja podążyliśmy za Cardkami do zamku, niecierpliwie oczekując otwarcia nowego rozdziału mojego życia.

2

JESSIE CARSON

Blérancourt, styczeń 1918

Ruiny zamku. Rozpalony kominek. Złocone biurko. „Czytając bajki, myślałam, że tego rodzaju rzeczy nie mogą się zdarzyć w rzeczywistości, a oto teraz jestem tu, po uszy w jednej z nich!”* Czułam się jak Alicja w Krainie Czarów, choć nie prowadził mnie biały królik, ale szary terier. Patrząc na turecki dywan i antyki, martwiłam się, że delikatne nogi krzeseł staną się psimi gryzakami.

– Nie powinnam zostawić psa na zewnątrz?

– A czemuż by to? – zapytała panna Morgan.

Usiadłyśmy z Lewis na aksamitnej kanapie, pies ułożył mi się u stóp. Doktorka Murray Dike siadła sztywno na krześle w stylu Ludwika XIV, nieopodal panny Morgan, która przysiadła na biurku. Gdy służąca rozlała ratafię, medyczka M.D. uniosła kieliszek.

– Za przybycie Carson, całej i zdrowej.

Reszta wychyliła kieliszki, a ja zamarłam z uniesioną ręką. Gapiłam się na pannę Morgan, kobietę, która nie tylko sprzeciwiła się konwenansom socjety, ale i całkowicie je przemodelowała.

* Lewis Carroll, *Przygody Alicji w Krainie Czarów*, tłum. Maciej Słomczyński.

– Wypij – wyszeptwała, przyzwyczajona do bycia obiektem zachwyty, i posłusznie upiłam łyk słodkiego wina. Poczęstowała nas potem papierosami z wykładanej macicy perłową papierosnicy. Odmówiłam, ale Lewis zapaliła i zaciągnęła się mocno. Panna Morgan pykała, jakby paliła nie papierosa, a fajkę. Po godzinach spędzonych w samochodzie z przyjemnością rozsiadłam się na miękkich wygodnych poduszkach. Lewis zdała Annom raport ze spotkania CARD w Paryżu, gdzie Cardkom udało się zdobyć nie tylko ziarna i nasiona, o które prosili rolnicy, lecz także kredę i tabliczki dla uczniów.

Lewis zgasiła papierosa.

– Pójdę sprawdzić, czy Bessie jest gotowa na jutrzejsze wyprawy.

– Bessie? – spytałam.

– To ford. – Lewis pożegnała się ze mną pocieszającym uściśkiem.

– Jestem pewna, że z wydarzeniami wojennymi jesteś na bieżąco – powiedziała panna Morgan. – Niestety, te tereny znajdowały się za linią frontu i prasa nie miała możliwości śledzić tego, co się działo.

Wyjaśniła, że jesienią 1914 roku miasta i miasteczka południowej Francji stały się polami bitew. Podczas odwrotu aliantów mieszkańcy, głównie kobiety i dzieci, bo mężczyźni służyli w wojsku, poddali się lub zostawali na miejscu. Niemiecka okupacja była brutalna. Część kobiet aresztowano i wysłano do Niemiec, gdzie były traktowane jak jeńcy wojenni. Te, które zostały, zmuszano do katorżniczej pracy. Kobiety, pozbawione żywego inwentarza czy sprzętu, zastępowały woły przy sianiu pszenicy. Dzieci, nawet czterolatki, zmuszane do kopania ziemniaków po dwanaście godzin dziennie, cierpiały teraz z powodu niedożywienia, chorób dermatologicznych, skrzywienia kręgosłupa.

Pewien chłopiec na własne oczy widział, jak jego matkę zabiła bomba zrzucona z wrogiego samolotu.

– Są tu dzieciaki, które nigdy się nie uśmiechają – dodała medyczka M.D. – Po tym, co przeszły, nie jestem pewna, czy jeszcze wiedzą, jak to się robi.

– Och – westchnęłam ze smutkiem. Żyłam słowami, a teraz mnie opuściły. Serce bolało mnie na samą myśl o tym, co przeżyły te rodziny. Póki nos teriera nie dotknął moich knykcii, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mnę w dłoni chusteczkę ojca. Psy zawsze wiedzą, kiedy potrzebne jest pocieszenie.

Po trzech latach walk alianci odzyskali te tereny, niestety armia niemiecka podczas odwrotu zniszczyła zabudowania i zaminowała pola uprawne. Kościół, szkoła, domy leżały w ruinach. Ani jeden dach nie ocalał. Każdy skrawek papieru – zwykły, smołowany, zatłuszczony – został spożytkowany do uszczelnienia podziurawionych kulami z karabinów maszynowych ścian. Odbudowa domów i oczyszczenie pól uprawnych stały się priorytetami CARD. Ludzie, którzy nie mają zapewnionych środków do życia, nie wrócą.

I nawet kiedy sześćdziesiąt kilometrów stąd nadal spadały wrogie bomby, tutaj z ziemi wrywano drut kolczasty, wykopywano niewybuchy, zasypywano okopy, usuwano ciała zwierząt, a szczątki zmarłych żołnierzy i cywili przenoszono na cmentarze. Ludzie mieszkali w kopalniach, stajniach, ziemiankach, w ruinach własnych domów. Nie mogłam sobie wyobrazić odnajdywania zwłok, niebezpieczeństwa, jakie niosło ze sobą uprawianie ziemi, utraty domu, choć wiedziałam przecież, jak to jest zaczynać od nowa.

Popijałam ratafię i chłonełam prawdę o trudnej rzeczywistości, z jaką mierzyli się Francuzi. Co to oznaczało dla biblioteki, którą przybyłam tu stworzyć?

– Wybacz, Carson – przeprosiła medyczka M.D. – Zdarza się nam zanudzać.

– Ale są i dobre wieści – powiedziała panna Morgan. – Zeszłej jesieni CARD zatrudniło nauczycieli. I po trzech latach okupacji dzieci w końcu wróciły do szkoły.

Pokiwałam głową z uznaniem, słysząc, że rutyna została przywrócona.

– Szkoła i czytanie to ważne rzeczy – powiedziała M.D. – ale biblioteka będzie musiała poczekać.

– Dlaczego? – spytałam.

Do pokoju wbiegła Cardka i zatrzymała się przed panną Morgan. Długi sznur pereł kołysał się między kłapami jej mundurka.

– Gdzie ona jest? Lewis mówiła, że już tu jest.

– Tak, Breckie, Carson w końcu dotarła. – Panna Morgan się rozjaśniła.

– Przyjechałaś w idealnym momencie, półki mamy całkiem puste – poinformowała mnie Breckie. Srebrzyste kosmyki obciętych na boba włosów muskały jej policzki. Była w moim wieku, ale energią dorównywała Lewis. – Powiedz, że przywiozłaś jakieś nowości!

– Ile tylko zmieściłam w bagażu. – Jej żądanie sprawiło, że natychmiast ją polubiłam. Zawsze widziałam przyjaciół w osobach, które czytają.

– Jestem pielęgniarką. Nazywam się Mary Breckinridge, ale Anne – wskazała na pannę Morgan – uważa, że moje nazwisko jest dla Francuzów niewymawialne, więc zostałam Breckie.

– Nasza nowo przybyła wygląda na zmęczoną – zwróciła się do niej M.D. – Pomożesz się jej rozgościć?

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że biblioteka będzie musiała poczekać? – spytałam.

– Porozmawiamy o tym później – zapewniła mnie panna Morgan i skierowała w stronę wyjścia.

Poszłam z terierem za Breckie do baraku, w którym przydzielono mi jeden z czterech pokoików. Stało w nim pojedyncze łóżko oraz toaletka z miską i dzbankiem wypełnionym wodą, bieżącej wody tu nie było. Był też bukiet suszonych kwiatów w miedzianej łusce pocisku.

– Niczego nie marnujemy – powiedziała Breckie, widząc moje zaskoczenie.

– Cóż, jeśli potrafisz zmienić broń w kwiatowe aranżacje, to trafiłam w dobre ręce.

– Trafiłaś.

Podczas naszej rozmowy pies przenosił wzrok ze mnie na nią, jakby śledził, o czym mówimy.

– Wygląda na to, że ten bystry psiak cię adoptował – zauważyła Breckie. – Jak go nazwiesz?

Spojrzałam w jego mądre oczy i na sumiaste wąsiska.

– Max – powiedziałam, a on zamrugał.

Wtedy też pojawiła się Lewis z moim bagażem.

– Czego ty tu napakowałaś? Kamieni?

– Książek – wyjaśniłam.

– Na jedno wychodzi – powiedziała i mrugnęła zaczepnie.

– Odpocznij – odezwała się Breckie. – Cookie dzwoni na śniadanie o siódmej.

Max przyglądał się, jak wkładam flanelową koszulę nocną do szuflady i rozwieszam sukienki w garderobie. *Armoire* po francusku. Francuski. Dobry Boże w niebiesiech, *le bon Dieu au paradis*, byłam we Francji. *En France*.

– Możesz uwierzyć? – spytałam Maxa.

W odpowiedzi polizał moje palce.

Odłożyłam *Moją Antonię*, *Hrabiego Monte Christo* i *Anię z Avonlea* na nocny stolik. Musiałam mieć swoich ulubieńców blisko, inaczej nie mogłabym zasnąć.

Niespokojna sięgnęłam po pióro, chcąc napisać do siostry. Pamiętałam o różnicy czasu i wyobraziłam sobie Mabel podczas lunchu, z dala od biurka i kaprawych oczek jej szefa. Wyobraziłam ją sobie z matką w domu, jak podgrzewa na palniku potrawkę, jak ukrywa marchewki i pora w gęstym bulionie, by matka ich nie zauważyła i je zjadła. Tydzień przed wyjazdem wczesnym rankiem siedziałyśmy na ganku i martwiłam się o nią. Nasze palce splotły się niczym pocucie winy i miłość, niczym lęk i nadzieja, niczym Mabel i ja. *Myslisz o wszystkich, tylko nie o sobie*, mówiła. *Twierdziłaś, że to twoje powołanie. Musisz jechać*. Jakże za nią tęskniłam.

Zanurzyłam stalówkę w atramencie. *Najdroższa Mabel, dotarłam! Rozpakowanie bagaży było ostatnim krokiem. Przez następne dwa lata będę bibliotekarką w ziemi niczyjej...*

Straciłam pocucie czasu i dźwięk dzwonka wzywającego na posiłki mnie przestraszył. W świetlicy rozpalono w kominu. Cardki zebrały się przy czterech okrągłych stołach. Każdy zastawiony był dla pięciu osób. Było kilka młodych dziewczyn w wieku Lewis, jedna przeglądała się w lżyce, inna malowała usta. Wiele było starszych, bliżej mojego wieku. Czy wszystkie pochodziły z dobrze sytuowanych rodzin, czy jak ja odbierały pensje? Czekałam na dogodną okazję, by się przedstawić, ale były zbyt zajęte rozmową i nie zauważyły mnie. Czułam się obca, jakbym zerknęła znad wielkiej księgi, która mnie od nich oddzielała.

Breckie, pielęgniarka, przywołała mnie gestem i poklepała wolne miejsce obok siebie. Gdy przemierzałam morze szaroniebieskich mundurków, by dotrzeć do niej, dwóch Ann i Lewis, usłyszałam burczenie jednej z Cardek:

– A niby czemu *ona* miałyby siedzieć przy głównym stole?

Nawet podczas wojny, nawet w organizacji niosącej pomoc nie uniknie się hierarchii. Socjętę Manhattanu budowały dziedziczki i żony milionerów. Bibliotekarka nie miała do niej wstępu.

Medyczka M.D. trzykrotnie zaklaskała jak dyrektorka szkoły uciszająca uczennice. Gwar ucichł. Poprosiła, bym się przedstawiła, i dwadzieścia Cardek spojrzało na mnie wyczekująco. Zaszło mi w ustach, wyłączył mi się mózg. Co mogłam powiedzieć? Że mówiłam o bohaterach książek, jakby byli moimi prawdziwymi przyjaciółmi? Że chociaż moja szefowa nie wyraziła zgody, by na bibliotecznej półce stał *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*, ja pragnęłam ujrzeć Szmaragdowy Gród? Że moja ulubiona pisarka to Willa Cather, bo tak jak ona rozumiałam piękno równin, widziałam piękno w zwyczajności?

– Jestem absolwentką Carnegie Library School. Przez siedem lat pracowałam w Pittsburghu. Przez kolejne siedem w Tacoma, w stanie Waszyngton, byłam dyrektorką działu dziecięcego. A ostatnio w Nowym Jorku. – Nie zamierzałam się wdawać w szczegóły tego okresu mojego życia.

– Motyla noga! – wykrzyknęła Lewis. – Pracowałeś na obu wybrzeżach. Mnie, póki tu nie przyjechałam, rodzice nigdzie nie puszczali. Jesteś bardzo dzielna.

– Nie bardziej niż wy wszystkie – protestowałam.

– Odkrywczyni! – zdecydowała Breckie. – Jak pionier Kit Carson, bohater moich ulubionych groszówek.

– Mamy ci mówić Kit? – spytała Lewis.

Nigdy nie miałam przezwiska, a Kit brzmiało przyjaźniej niż Carson. Nieśmiała w obliczu zainteresowania wszystkich obecnych mogłam jedynie skinąć głową.

Panna Morgan wyjęła z kieszeni broszkę. Dopiero teraz zauważyłam, że wszystkie Cardki taką nosiły.

– To gryf – powiedziała panna Morgan. – Nasz symbol.

Mityczna bestia – pół lew, pół orzeł, symbol mądrości i odwagi – pasował im. Wyprostowałam się i wypięłam pierś, gdy panna Morgan przypięła mi broszę. Ze wszystkich bibliotekarek kandydatek wybrała mnie. Jakoś udało mi się zrobić coś istotnego. *Książki to mosty*, mawiał mój ojciec, kiedy byłam dzieckiem. *Pokazują, że wszyscy jesteśmy połączeni*. W kieszeni ścisnęłam jego chusteczkę, opuszką palca śledziłam wyhaftowane litery. SC jak Samuel Carson.

– Za naszą biblioteCardkę! – Wzniosła toast panna Morgan.

Wszystkie kieliszki powędrowały w górę.

– Za Kit! – powiedziała Lewis.

– Jesteś jedną z nas – dodała Breckie.

Czułam, że się rumienię. Przyzwyczaiłam się do tego, że poza godziną czytania bajek, kiedy dzieci nie spuszczały ze mnie wzroku, byłam niewidzialna.

Skrzypienie zawiasów obwieściło przybycie kolacji. Kucharka, jako że obie ręce miała zajęte, bo trzymała w nich srebrne tace, uchyliła drzwi pośladkiem. Wokół smukłej talii osy miała luźno zawiązany fartuch. Bardzo dziwnie było poznawać nową osobę od strony pośladków. (Tylko raz mi się to wcześniej przydarzyło, gdy spóźniłam się do filharmonii i dyrygent już się odwrócił w stronę orkiestry). Stanęła bokiem i przepuściła dwie podkuchenne, żeby ustawiły na stołach półmiski z nadziewanymi jajkami, kalaflorem w beszamelu i podwiędłą zieleniną. Śmietanowy aromat sprawił, że do ust napłynęła mi ślina.

– Nowa? – Zauważyła mnie kucharka.

– Jessie Carson, bibliotekarka wypożyczona z Nowego Jorku – przedstawiłam się.

– Wypożyczona jak książka?

– Tak, chociaż na dwa lata, a nie dwa tygodnie.

– Też jestem z Nowego Jorku. Marie Jones. Nazywają mnie tu Cookie. Witaj – powiedziała i ruszyła do następnego stołu.

Panna Morgan, nakładając kalafior na talerz, opowiadała o swojej ostatniej wizycie na Manhattanie, gdzie udało się jej skusić Cookie i wywabić z domu jej najukochańszej wrogini.

– Ten bunt to twoje największe osiągnięcie – stwierdziła Breckie.

– Cookie, dołącz do nas – zachęciła ją panna Morgan. – Zatrudniłam cię, żebyś nadzorowała kuchnię, ale nie musisz szorować każdej patelni osobiście.

Kucharka otarła czoło wierzchem dłoni, zostawiając na nim smugę mąki.

– Za dużo jest do zrobienia – zdecydowała. Podkuchenne podążyły za nią do kuchni niczym świta.

Czyli ktoś się jednak nieulekłej pannie Morgan sprzeciwił.

Spróbowałam kalafiora. Maślana miękkość rozpułynęła mi się na języku. Niebiański smak.

– Będiesz asystować Cardkom w ciągu dnia, poznasz miejsce, w którym będziesz pracować, i zapoznasz się z wymaganiami twojego stanowiska – poinformowała mnie medyczka M.D. – Wizyty domowe z Breckie i sprzedaż z Lewis.

– Co takiego sprzedajecie? – spytałam.

– Wszystko, od buraków przez jajka i grabie po protezy – odpowiedziała Lewis.

Przez moment było nieco niezręcznie. W jednej chwili Cardki przekomarzały się, jakby były u siebie, w następnej zapadła cisza. Gdzieś z oddali dobiegły odgłosy wybuchów. Przełknęłam ślinę. Rozejrzałam się, zastanawiając się, czy pozostałe Cardki się boją, może przynajmniej denerwują, ale one spokojnie jadły dalej.

– Obecnie – pociągnęła rozmowę panna Morgan – „zakurczakujemy” te tereny. Zamawiamy tyle kwok, żeby ludziom nie

brakowało jajek, i rozstrzygamy spory dotyczące kolejności dziobania. Burmistrzynie i hrabina niemal powyrywały sobie piórka.

To było mistrzostwo – rozważania o trudnościach „kurczakowania” sprawiły, że znów chichotałyśmy.

– Madame, madame! – Nastolatka, którą już wcześniej widziałam, Marcelle Moreau, wbiegła do jadalni. W jednej ręce kurczowo ścisnęła latarnię i kluczyła między stołami, póki nie zauważyła Breckie. – *Mon petit frère!**

– *La fièvre?* – Breckie przyłożyła dłoń do czoła dziewczynki, sprawdzając, czy nie gorączkuje.

– *Oui* – wydyszała Marcelle. Musiała tu biec.

– *Tenez!* – Podałam jej szklankę wody. Wypiła do dna.

– Musi to być coś poważnego, skoro pani Moreau prosi o pomoc – powiedziała panna Morgan.

Breckie była chyba przyzwyczajona do wezwań, bo od razu wyciągnęła spod krzesła czarną torbę. Powiedziała, że w okolicy nie ma żadnego medycznego personelu, i spytała, czy z nią pojedę. Bałam się – nie tylko bomb. Bałam się, że nie będę potrafiła pomóc.

– Możesz zanurzyć palec w jeziorze i dygotać, twierdząc, że nie jesteś jeszcze gotowa – mówiła Breckie – albo możesz wskoczyć do wody. Ktoś potrzebuje pomocy, a my jesteśmy tu, by jej udzielić.

Dotknęłam broszy. Gryf był też symbolem szybkich decyzji. *Są rzeczy, których najłatwiej się nauczyć w ciszy, są i takie, których uczy sztorm.* Przybyłam tu, by pomagać, i to właśnie zamierzałam teraz zrobić.

* *Mon petit frère!* (franc.) – mój mały braciszek; *la fièvre* – gorączka; *oui* – tak; *tenez* – trzymaj (przyp. red.).

Włożyliśmy płaszcze i wyszliśmy za Marcelle w noc, zostawiając za sobą kocie łby miejskich uliczek. Podążaliśmy ścieżką. Wątle płomyki latarenek nie rozjaśniały ciemności. Pociski gwizdały i przecinały niebo, rozjaśniały je, by chwilę później wybuchnąć z ogłuszającym hukiem. Wznosiły się płomienie, smród spaleni-
zny kaleczył powietrze. W każdej chwili mogłam zostać trafiona. By nie ulec lękowi, skupiłam się podczas tej piętnastominutowej wyprawy na tym, by się nie potknąć. Marcelle zeszła po nierównych drewnianych schodach i uniosła latarnię, rozjaśniając nam drogę. Zeszliśmy z Breckie do dołu z piaskowca, na dno usiane kamieniami, i podeszliśmy do metalowych drzwi w ziemistej ścianie. Słyszałam dobiegający zza nich płacz dziecka. Weszliśmy do wilgotnej ciemnej jaskini. Marcelle potrzebowała latarni, by znaleźć drogę, co oznaczało, że zostawiła matkę i trzech braci bez światła.

Powitałyśmy panią Moreau. Tulila płaczące dziecko. Miała ciemne włosy jak Marcelle i jak ona była w żałobie.

– Zaczęło się nagle. – Spojrzała na nas, jakby miała się rozpłakać. Rozumiałam francuski, ale z trudem nadążałam, gdy wymieniała objawy, jakie zauważyła u syna. – Rozpalony... zbyt rozgrzany... wymioty... płacze... nie śpi.

Breckie poklepała wątle ramię chłopczyka. Wyglądał na nie więcej niż trzy lata.

Oczy przyzwyczaiły mi się do braku światła. Obok piecyka na drewno stał stół kuchenny z piętrzącymi się na nim naczyniami, nieopodal leżały sienniki. Na jednej z poduszek dostrzegłam dwie książeczki dla dzieci. Gruba warstwa ziemi nad naszymi głowami tłumiała odgłosy wybuchów i przestałam się martwić o swoje życie. Zaczęłam się za to martwić o los tej rodziny. Aż za dobrze wiedziałam, jak szybko gorączka potrafi odebrać najbliższych.

W poniedziałek ojciec czuł się dobrze. Zmarł przed piątkiem. Zapalenie płuc.

Breckie badała chłopca. Poczerwieniał z powodu płaczu czy od gorączki? Modliłam się, by spotkało go w życiu wiele przygód. *Wyspa skarbów. W 80 dni dookoła świata.*

– To, że Maurice płacze, to dobrze – wyjaśniała Breckie. – To znaczy, że jest w nim wola walki. Gdyby opadł z sił i umilkł, wtedy trzeba by się martwić.

Skinęła w stronę żeliwnej wanny, więc napełniłam ją zimną wodą ze stojącego przy niej wiadra. Zmoczyłyśmy ręce i nogi Maurice’a, zanim go zanurzyłyśmy. Breckie poruszała się pewnie, jakby robiła to w zawilgoconej lepiance setki razy. Maurice zapłakał głośniej. Jego bracia wtulili się mocniej w jej spódnicę, a ona ich objęła. Pani Moreau zacisnęła dłonie tak mocno, że pobieleały jej knykcie.

– Proszę mu zaśpiewać – powiedziała Breckie. – Ulży mu, gdy panią usłyszysz.

Zanuciła więc *Frère Jacques**, Marcelle z braćmi dołączyła. Z początku Maurice gniewnie się wyrywał, ale po chwili się uspokoił i zaczął kwilić. Miałam wrażenie, że trwało to godzinami. Chłód lepianki przenikał warstwy odzieży i sączył się wprost do kości.

Zerknęłam na Breckie z nadzieją na dobre wieści.

Dotknęła czoła chłopca.

– Lepiej – ogłosiła.

Wysuszyłyśmy Maurice’a i otuliłyśmy go miękkim kocem.

– Niech się pani wyśpi – powiedziała Breckie do pani Moreau. – Potrzebuje pani tego.

* *Frère Jacques (Panie Janie)* – znana francuska rymowanka, często śpiewana na głosy (przyp. red.).

– *Merci* – odpowiedziała i spojrzała ze złością na córkę. – Mówiłam Marcelle, że ma paniom nie przeszkadzać. Nigdy nie słucha!

– Nie przeszkodziła – nalegała Breckie.

– Uczę dzieci, że mają sobie same radzić.

Pani Moreau przypominała mi moją matkę – nie kłopotcz nikogo, nie przeszkadzaj, to nie wypada dobrze wychowanej damie, bądź cicho i nie rzucaj się w oczy. Marcelle uważnie się nam przyglądała. Co wyniesie z tego wieczoru?

– Kiedy być samodzielnym, a kiedy prosić o pomoc, to jedna z najważniejszych rzeczy, jakie dzieci powinny wiedzieć – odpowiadałam jej, ale te słowa kierowałam do Marcelle.

– Nauczyła się pani tego, wychowując dzieci? – zripostowała.

Czułam, że Breckie obok mnie się wzdryga. Skupiła się na odkładaniu rzeczy do torby lekarskiej, więc to ja odpowiedziałam na zaczepkę pani Moreau.

– Nauczyłam się tego, kiedy sama byłam dzieckiem.

Rozejrzałam się po lepiance, ale nie dostrzegłam nigdzie książki, którą pożyczyłam Marcelle. Może musiała ukrywać takie rzeczy przed matką.

– Dziękuję, że się panie pojawiły – odezwała się matka Marcelle. – Choć nie było takiej potrzeby.

– Była to najwyższa potrzeba – odpowiedziała Breckie. – Wasz dobrostan jest istotny.

I znów poczułam, że Marcelle nas obserwuje, jak ja obserwo wałam kiedyś matkę.

Na szczęście bombardowanie ustało. Wróciliśmy z Breckie do zamku.

– Uwierzyłabyś, że Maurice ma prawie sześć lat? – spytała nagle.

– Sześć? Nie dałabym mu więcej niż trzy.

– Mamy czas, żeby go podtuczyć. Pani Moreau sama jest wychudzona, jak większość matek tutaj. Niemcy zagłodzili mieszkańców niemal na śmierć. Rzecz jasna, wilgoć w lepiance nie pomaga, ale póki nie ma innych możliwości...

Podczas zbiórek charytatywnych w Nowym Jorku panna Morgan pokazywała fotografie dokumentujące cierpienie cywili, ale czymś zupełnie innym było zobaczyć to na własne oczy. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Zresztą słowa i tak nie mogły tego oddać.

Ale jeśli słowa nie wystarczały, to co ja tu robiłam? Ci ludzie potrzebowali znacznie większej pomocy niż książki w bibliotekach. Potrzebowali więcej, niż miałam do zaoferowania.